

ANNA CZERWIŃSKA-RYDEL

GEN I JUŻ

OPOWIEŚĆ O STEFANIE BANACHU

ILUSTRACJE
MARCIN MINOR

*Mojej przyjaciółce Magdalenie
i jej synowi, Stefanowi*

Anna Czerwińska-Rydel
Gen i już!
Opowieść o Stefanie Banachu

© by Anna Czerwińska-Rydel
© by Wydawnictwo Literatura

Konsultacja merytoryczna:
Prof.dr.hab Michał Horodecki
Instytut Fizyki Teoretycznej
i Astrofizyki Uniwersytetu Gdańskiego

Okładka i ilustracje: Marcin Minor

Skład i korekta:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I, Łódź 2020

ISBN 978-83-7672-799-8

Wydawnictwo Literatura



91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwoliteratura.pl

**Matematyka jest najpiękniejszym
i najpotężniejszym tworem ducha ludzkiego**

Stefan Banach

Geniusz – gen i już!

Hugo Steinhaus

Problem

Jesień 1891 Kraków



Co ja teraz zrobię? – dziewczyna wsunęła jasne włosy głębiej pod czepek i przyjrzała się sobie w okiennej szybie, którą przed chwilą polerowała. – Jeszcze nie widać brzucha, ale już za chwilę wszyscy się dowiedzą... Stracę pracę, utrzymanie, mieszkanie, chleb... Gdzie ja pójdę? Jak sobie poradzę? Co się stanie z dzieckiem?! Boże mój, Boże, ratuj mnie, biedną...

Płakała cicho, prawie bezgłośnie, żeby nikt nie usłyszał. Płacząca służąca przecież zawsze wzbudza podejrzenia. Każdy chce, żeby posługaczka była szybka, czysta i tania,

niewidzialna i profesjonalna, skromna, zdrowa, no i przede wszystkim niepozorna. Taka, która bardziej jest maszyną niż człowiekiem. A jeśli tylko pojawi się jakakolwiek rysa na wizerunku „dziewczyny od wszystkiego”, można ją zastąpić inną – skromniejszą, szybszą i jeszcze bardziej niepozorną. Co tydzień bogate panie i panowie udają się na rynek, gdzie nowe dziewczyny, przyjezdne z najróżniejszych wsi, pokazują się z jak najlepszej strony. Jedna jest młodsza i bardziej rumiana od drugiej, a wszystkie marzą o służbie u zamożnych państwa. Jest z czego wybierać.

– Boże mój, Boże... – Kasia wdychała raz po raz i wciąż wzywała szeptem Najwyższego, nie odrywając się od pracy. – Żebym miała tu chociaż jedną życzliwą duszę, której mogłabym zaufać...

– Co tam szepczesz, Kasienko? – Męski głos, który nagle odezwał się gdzieś w głębi korytarza, wyrwał dziewczynę z zamyślenia tak niespodziewanie, że aż drgnęła.

– Stefan...? – zarumieniła się i upuściła ścierkę. – Co tu robisz? Myślałam, że wyjechałeś.

– Jestem przygotowany do drogi, czekam na rozkaz, ale na razie jeszcze nie kazano mi jechać... Nie cieszysz się, że przyszedłem, kochana? – Młody, przystojny mężczyzna objął dziewczynę ramieniem.

– Cieszę się... – Na bladą twarz Kasi wypłynął rumieniec, a w jej i tak czerwonych od płaczu oczach pojawiły się łzy.

– Co się stało? – mężczyzna spojrzał na nią badawczo. – Jesteś chora?

– Tak. Nie. To znaczy... Nie wiem! – Kasia zanosła się płaczem na dobre. – Stefanie, ja... ty... my... Będziemy mieli dziecko – wyszlochała.

Mężczyzna zamilkł. Nie odzywał się tak długo, aż Kasia wydawało się, że już nigdy do niej nie przemówi.

– To niemożliwe – powiedział wreszcie zmienionym głosem. – Ja nie mogę zostać teraz ojcem – odsunął się od dziewczyny. – Nie mogę się z tobą ożenić bez zezwolenia władzy wojskowej! – Zaczął nerwowo chodzić po korytarzu. – Chyba to rozumiesz? Oficer wyda mi zezwolenie na ślub tylko wtedy, gdy okażę mu dokumenty, że małżeństwo z tobą poprawi moją sytuację materialną. A przecież ty, jako służąca, zarabiasz...

– Mniej niż sama potrzebuję na życie – dokończyła cicho Kasia. – Nie martw się, nie będę ci ciężarem. – Spojrzała na Stefana z bólem. – Już postanowiłam. Oddam dziecko zaraz po urodzeniu.

– Komu?

– Jeszcze nie wiem. Może znajdą się jacyś dobrzy ludzie.

Dziewczyna odwróciła się do okna i zaczęła polerować tę samą szybę, którą myła już drugą godzinę.

– To dobra decyzja – stwierdził Stefan. – Wybacz mi, ale nie mogę postąpić inaczej.

Oddam dziecko w dobre ręce

30 marca 1892, szpital im. świętego Łazarza w Krakowie

– Chłopak jest silny i zdrowy! – akuszerka podała Kasi noworodka. – Płacze, bo głodny. Proszę przystawić go do piersi, zaraz się naje!

– Nie będę go karmić! – Młoda matka nawet nie spojrzała na kwilącego maluszka zawiniętego w pieluszki. – On pójdzie do ludzi, niech się do mnie nie przyzwyczajają – odwróciła głowę i zamknęła oczy.

– Rozumiem... – położna popatrzyła na dziecko ze smutkiem. – A imię chociaż mu pani da?

– Niech mu tamci wymyślają imię. Ja damę mu swoje nazwisko. To, czego mu ojciec poskąpił.

– Pewnie wojskowy? – zapytała akuszerka, ale nie doczekała się odpowiedzi. – Oni są najgorsi – machnęła ręką. – Przyjedzie taki w mundurze, zawróci dziewczynie w głowie, potem znikną, a ty sobie radź – burknęła i zanosła dziecko do karmienia.

Tymczasem ordynans oficera wojska austriackiego, pan Stefan Greczek, nie mógł sobie znaleźć miejsca. Najpierw długo klęczał w kościele, gdzie modlił się żarliwie przed

samym ołtarzem. Potem chodził ulicami i zaglądał do dziecięcych wózków pchanych przez młode kobiety. Przez kilka godzin siedział na ławce i w milczeniu patrzył w jeden punkt.

Wreszcie zerwał się i poleciał do szpitala. U przygodnej staruszki kupił w biegu bukietik wiosennych kwiatów. Musiał zobaczyć Kasię i dziecko. Jego dziecko. Już podjął decyzję. Był pewien, że ożeni się z nią, cokolwiek by się miało potem stać. Za chwilę jednak stwierdzał, że nie poradzi sobie z tą sytuacją. Chciał kiedyś założyć normalną rodzinę. Mieć żonę i ślubne dzieci. A związek z Kasią wszystko komplikował... Ale to była jego Kasia. Matka jego dziecka! Kochał ją! I nie chciał jej. Serce mu skakało z radości na myśl o dziecku i wołałby, żeby go nie było...

– Musiałem przyjść – wręczył zdziwionej dziewczynie bukietik fiołków. – Chciałem go chociaż raz wziąć na ręce – tłumaczył, przytulając noworodka. – W końcu to mój pierwszy syn... Czy mógłby... Czy zgodziłabyś się, żebym dał mu na imię Stefan?

– Jest mi wszystko jedno – odpowiedziała Kasia, z całej siły powstrzymując łzy. – Na nazwisko będzie miał Banach, tak jak ja. Imię może mieć po tobie.

– Tyle możemy mu dać – szepnął Stefan i spojrzał z czułością na maleńką twarzączkę. – Imię i nazwisko. Resztę dostanie od obcych ludzi.

– Żeby się tylko znaleźli tacy, co go wezmą – mruknęła dziewczyna.

– Nie będzie z tym kłopotu. Takiego ładnego chłopca, to każdy by chciał – powiedział Stefan i od razu pożałował swoich słów. – Rozmawiałem z pewną kobietą na wsi, która zgodziła się wziąć naszego Stefana. Wygląda na porządną. Za miastem nie będzie mu źle, prawda, Stefcu? – zakołysał kwilącym zawiniątkiem.

– Oby się tylko ta kobieta nie rozmyśliła – wzrok Kasi był zimny i pusty. – Dzisiaj nie tak łatwo oddać komuś dzieciaka... – dodała i odwróciła się plecami do Stefana, żeby nie widział jej łez.

Weźmie go pani?

24 kwietnia 1892, Kraków

– Kasiu, mamy kłopot. – Mina Stefana wskazywała na to, że stało się coś złego. – Ta kobieta ze wsi, która wzięła naszego chłopca, rozchorowała się i teraz chce go oddać. Mówi, że dziecko ciągle krzyczy w nocy i ona już nie ma siły.

– Boże najświętszy! I co teraz? – Kasia zbladła. – Ja nie mogę wziąć go tutaj...

– Ja też nie. To co zrobimy?

– Nie wiem. Dla t a k i c h jak on są przytułki – powiedziała dziewczyna twardo, chociaż w środku aż ją paliło

z bólu. – Nie ma przecież innego wyjścia – dodała, żeby przekonać samą siebie. Liczyła też trochę na to, że Stefan zaprzeczy. Ale on tylko kiwał głową ze smutkiem.

Jaka ona zimna, bezduszna – myślał. Zastanawiał się, co właściwie widział w tej Kasi. Już mu bardziej obchodzi los dziecka niż ją, a to ona jest jego matką! – myślał z goryczą. Miał do niej żal i pretensje. Nie domyślał się nawet, że w tym samym czasie panna Katarzyna Banach, służąca oficera wojsk austriackich w Krakowie, podjęła pewną decyzję...

25 kwietnia 1892, Kraków

– Chciałam prosić o wychodne. – Służąca dygnęła grzecznie przed panem oficerem.

– Teraz? W środku tygodnia? – wojskowy z niezadowolaniem zmarszczył czoło. – A cóż takiego ważnego ma dzisiaj Kasia, że chce brać wychodne? Dopiero co wróciła ze szpitala i znowu coś?

– Przepraszam najmocniej pana oficera, ale ja naprawdę muszę. Postaram się szybko uwinąć, przed zmrokiem wrócę, a jutro nadrobię wszystko za dziś, obiecuję – dygnęła ponownie i spuściła głowę.

– Nie wiem, o co chodzi, i nawet nie chcę wiedzieć – machnął ręką wojskowy. – Mam tylko nadzieję, że nie

narobiła Kasia jakichś głupot, bo jakby co, to ja nie będę utrzymywał darmożjadów, ostrzegam! – Spojrzał na dziewczynę surowo.

Kasia milcząc, wbijała wzrok w ziemię.

– No co tak Kasia stoi! Niech już idzie tam, gdzie musi! Jutro sprawdzę, czy wszystko zrobione tak, jak obiecała.

– Dziękuję panu! Z całego serca dziękuję! Niech Bóg panu wynagrodzi dobre serce! – Rozpromieniona dziewczyna pocałowała swojego pracodawcę w rękę, zarzuciła na ramiona chustę i wybiegła z domu.

– Ona myśli, że ja nie wiem... – mruzczał do siebie oficer, zapalając fajkę. – Ślepy by zauważył, że ona i mój ordynans Stefan Greczek już od dawna mieli się ku sobie. A potem to płkanie po kątach, mycie w kółko jednego okna w holu, ukradkowe spojrzenia, poprawianie fartucha na coraz większym brzuchu... Zakochani... Narobili se kłopotów, nie ma co... – burczał, zaciągając się dymem. – Greczek żenić się nie może, a i zostawić dziewczynę z dzieckiem pewnie mu głupio. Krzyżyk na szyi nosi, do kościoła chodzi, w Boga wierzy, to i bezduszny nie jest. A Banachówna musi pracować, żeby żyć... Taki to już świat, że służąca nawet do własnego dziecka nie ma prawa.

Tymczasem Kasia zaglądała do domów w wiosce i pytała o synka. Ludzie szybko pokazali jej chałupę baby, która przygarnęła niemowlę.

– A weź go sobie! – Kobięcina wetknęła jej zawiniątko już